

Świat według Józefa Szajny

Wczoraj w Warszawie zmarł Józef Szajna – pedagog, malarz, grafik, scenarzysta i reżyser. O jednym z najwybitniejszych twórców teatralnych XX wieku pisze Henryka Wach-Malicka

Józef Szajna wierzył w cuda, ale nie ufał ludzkiej pamięci. Te dwa odczucia stały się motywem przewodnim twórczości plastycznej i teatralnej, która zapewniła mu miano artysty wybitnego, ale przede wszystkim przejmującego. Wielu odbiorców nie było w stanie wytrzymać emocjonalnego napięcia, jakiego Szajna zaklinał w swoich słynnych „pół-ludziach”. Prawie nigdy nie było wiadomo, czy to martwa kukła, czy aktor, znieruchomiły w pozie człowieka pozbawionego wszelkiej nadziei, bo artysta używał tych scenicznych znaków zamiennie. Nikt jednak i nigdy – a prezentował dorobek na kilku kontynentach – na jego rzeźby, obrazy i przedstawienia nie pozostawał obojętny!

Prywatnie Józef Szajna był człowiekiem pogodnym, dowcipnym i obdarzonym niesłychaną pamięcią. Gdy w 2003 roku przybył do Teatru Śląskiego, by odebrać tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego, zaskoczył wszystkich. Po 40 latach pamiętał jak na scenie rozkładają się głosy wykonawców, układ klatek schodowych i korytarzy!

Pracował na katowickiej scenie kilka razy. Przedstawienia w Teatrze Śląskim były jednak ostatnimi, w których Józef Szajna inscenizował cudzy tekst; od końca lat 60. tworzył widowiska autorskie, oparte na własnych scenariuszach i ze swoją scenografią. Miał ogromną potrzebę wyrzucenia z siebie traumy, której nie umiał oddać słowami innym ludzi. Swoimi też zresztą nie, dlatego w jego inscenizacjach wybrzmiewały długie minuty milczenia, a strach zamieniany był na obraz i dekonstrukcję przestrzeni. Totalną, Szajna uważał bowiem, że II wojna światowa zburzyła podstawy naszej cywilizacji, a ludzką wrażliwość na zawsze zdruzgotała. Po latach zminimalizował te lęki na rzecz nadziei, ale do końca postrzegał człowieka jako nic nieznaczącą drobinę Dobra w kosmosie Zła.

Do Teatru Śląskiego Józef Szajna przyjechał jako artysta ceniony, choć wciąż kontrowersyjny. Jego oryginalny stosunek do tworzenia teatralnego sprawiał wrażenie, jakby reżyser nie szanował tekstu, traktując go wyłącznie jako bazę dla eksperymentów formalnych. Ale „Szkarałatny proch” Seana O’Caseya,



Józef Szajna w czasie spotkania w Teatrze Śląskim w 2003 roku

zrealizowany przez Szajnę w Katowicach w 1968 roku, odbił się głośnie echem w całej Polsce. Jeszcze większy szum towarzyszył „Rzeczy listopadowej” Ernesta Brylla, która na trwałe weszła do historii teatru polskiego. Dramat – nawiązujący do literatury i idei polskiego romantyzmu, ale z nim polemizujący – w realizacji Szajny zmienił się w płomienny manifest antywojenny. Bohaterowie sztuki pojawiali się na scenie w obozowych pasiakach, wsparci na kulach, zniekształceni bólem i skuleni z wyczuwalnego w powietrzu strachu. Gigantyczne świece ofiarne, dominujące w scenografii i ludzkie kukły stwarzały nastrój paraliżujący widzów. Dość powiedzieć, że oklaski pojawiały się dopiero kilka minut po zakończeniu przedstawienia, publiczność musiała bowiem wydobyć się najpierw z teatralnego wprowadzenia, ale namacalnego świata zagłady. Kto nie widział spektaklu w reżyserii tego artysty, temu trudno sobie wyobrazić, jak płynnie my, widzowie, przechodziliśmy ze stanu „oglądania” w stan „współuczestniczenia”.

Śląska publiczność szybko zaakceptowała niecodziennego artystę i dlatego jego realizacja „Śmierci na gruszy” Witolda Wandurskiego, jeszcze odważniejsza w traktowaniu materii dramaturgicznej, cieszyła się wielkim zainteresowaniem.

Józef Szajna wkrótce po katowickich realizacjach został dyrektorem warszawskiego Teatru Studio, gdzie powstały jego najwybitniejsze dzieła – „Witkacy”, „Cervantes”, a przede

Miał ogromną potrzebę wyrzucenia z siebie traumy

wszystkim „Dante” i „Replika”. Na Śląsk wrócił jednak w 1993 roku. Zrealizował wtedy w chorzowskim Teatrze Rozrywki „Ślady”, opowieść o tym, jak szokujące przeżycia mogą wypaczyć ludzką wyobraźnię i napiętnować sposób patrzenia na rzeczywistość. Odtwórcy głównych ról w tym przedstawieniu – Jacenty Jędrusik i Maria Meyer – wspominają, że przed każdym spektaklem potrzebowali kilkudziesięciu minut samotności, żeby w pełni wejść w wykreowany przez Szajnę świat. Pamiętam też reakcję nastoletnich teatromanek, które wybrały się na „Ślady” znając wiek (71 lat) i dorobek mistrza, ale spodziewając się, cytując „jakiegoś badziewia”. Uczciwą skruczę wyraziły krótko: „Ale gigant, normalna awangarda”.

– Ludzie dziwią się czasem – mówił wtedy Józef Szajna – że z uporem wracam do rzeczywistości, która boli i uwiera. Ale ja tego nie planuję... Ja ciągle dziwię się, że żyję i pytam: dlaczego i kto odciął tę poję, którą miałem na szyi? Każda moja praca jest po prostu

szukaniem odpowiedzi na to pytanie.

Przez 66 lat twórczości Józef Szajna stworzył własny artystyczny świat. Budował go z sennych koszmarów i świadomych przemyśleń. To świat wciąż zagrożony rozpadem, pozbawiony sensu i pogrążony w chaosie. To obsesja butów, które nie mają już właścicieli, motyw przeciwegazowych masek i oderwanych od korpusu kończyn. Ale przede wszystkim świat ludzi dotykających granic egzystencjalnego bólu.

Zdumiewające było to, że nie pałał żądzą odwetu! Gdy realizował „Ślady”, rozmawiałam z nim wiele razy. To nie były łatwe rozmowy. Bałam się dotknąć bolesnych, mimo upływu lat, wspomnień, choć z drugiej strony ich przywołanie wydawało mi się niezwykle ważne dla dopełnienia dzieła artysty. Ale Józef Szajna ułatwił mi zadanie – sam zaczynał opowiadać o wojnie i chętnie tłumaczył powtarzające się w spektaklu motywy. Przede wszystkim mówił jednak o tym, że jeśli zabijamy oprawcę, choćby i w poczuciu wyrównania krzywd, to w niczym się od niego nie różnimy. Nie wolno natomiast, przestrzegał, zapominać. Może i – jeśli przekracza to nasze możliwości – nie trzeba przebaczać. Ale mścić się nie należy, bo „ktoś to koło cierpienia musi przecież zatrzymać”. Dlatego wybrał sztukę, która fizycznej krzywdy nie czyni, ale nie pozwoli spokojnie zasnąć tym, którzy dopuścili się niegodziwości.

– Odkąd „ocala” prowadzony na rzeź” – miał wtedy tylko 21 lat, za sobą straszliwe przeżycia w Auschwitz i Buchen-

waldzie – postanowił zostać artystą. Jeśli mówił o sobie, że jest „człowiekiem odciętym z pętli”, to nie była to bynajmniej metafora. Za próbę ucieczki z obozu koncentracyjnego skazano go na śmierć przez powieszenie i na tę śmierć już szedł. W chwili totalnej desperacji, której nigdy do końca we wspomnieniach nie udało mu się zrekonstruować, uciekł z tego transportu. Tym razem szczęśliwie.

– Wtedy uwierzyłem, że cuda istnieją – mówił w wywiadzie dla naszej gazety – bo ja jestem tego przykładem. Ja, ludzka istota, która od miesiący umierała na tyfus, zapomniała jak się nazywa i rozumiała tylko jedno: oto nadszedł koniec świata. Nie wiedziałem tylko, ile czasu mi zostało. Może to był dzień, a może godzina... A jednak uciekłem, można powiedzieć, że przeżyłem samego siebie. Po wojnie instynkt samozachowawczy podpowiadał mi tylko jedno: jeśli nie chcesz oszaleć, wybierz coś, co da temu upust. Wybrałem sztukę.

Urodzony 13 marca 1922 roku w Rzeszowie artysta, po ocaleniu z wojennej zagłady ukończył krakowską Akademię Sztuk Pięknych. Był wybitnym scenografem i reżyserem. Pod koniec życia wielkim jego marzeniem było usypianie w Auschwitz Kopca Pamięci i Pojednania. Miał nadzieję, że to będzie symbol, wzniesiony ku przestrodze, ale i znak nadziei. Rok temu, w czerwcu, położono kamień węgielny pod kopiec, profesor Szajna już jednak nie dożyje końca budowy. Wybitny Artysta zmarł 24 czerwca 2008 roku.